

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 16.

CHICAGO, 18-go KWIECZNIA (APRIL 18-th), 1907,

ROK (Year) VIII.

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER.



PRZYGODA Z LALKĄ.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy.)

Kraina też to, której ludzie, jeżeli nie odkryją jakich bogactw mineralnych, długo unikać będą. W owe góry, nad rzeki, dorzecza i w caniony zapuszczają się tylko strzelcy, najmowani przez kompanie, handlujące futrami, lub samotni traperowie. Wyoming jest dotąd terytorium, nie stanem, i zapewne nie prędko stanem zostanie. Główne miasto, Cheyenne, leżące niedaleko granicy Nebraska, jest prosto znacniejszą stacją kolei żelaznej, koło której skupiło się nieco ludności, trudniącej się cokolwiek rolnictwem, cokolwiek handlem, a głównie polowaniem i wymianą skór z Indyanami. Naturę kraju i główne zajęcie mieszkańców podróżnik może odgadnąć na pierwszy rzut oka. Pamiętam, że, gdym, jadąc do Kalifornii, przybył do Cheyenne, pierwszym przedmiotem, jaki uderzył oczy moje na dworcu kolei żelaznej, był stary niedźwiedź wypchany, ustawiony we drzwiach kolejowego dworca, tak wielki, że, lubo siedzący na tylnych łapach, przenośli o głowę mężczyźni wysokiego wzrostu. Drugi, mało co mniejszy, ale żywy, zamknięty w drewnianej budzie, opatrzonej żelazną kratą, kręcąc się po ciasnym więzieniu, przysiadł za zbliżeniem się ludzi i, przymknawszy oczy, otwierał paszczę, w którą podróżnicy wrzucali jabłko, orzechy, a nawet i kawałki cygar. Kudłate, olbrzymie łby bawołów, poprzybijane nad każdymi drzwiami, dopełniały charakterystyki kraju. Mieszkańcy miejscowi, którzy przybyli widzieć pociąg, ubrani w futrzane czapki i podarte kołdry flanelowe, często znaczone: U. S. (United States), a zbrojni w długie karabiny, zdradzali ludzi, dla których myśliwstwo jest głównym sposobem życia. Jakoż tak jest i tak być musi w każdym kraju dzikim i niezamieszkałym.

Prócz Cheyenne i prócz stacji kolei niema w Wyomingu żadnych innych miast. Niektóre stacje tworzą czasem osady, liczące po kilka i kilkanaście domów, inne są tylko samotnymi domami, stojącymi na pustyni. Wzdłuż całej linii nie widziałem ani jednej fermy, ani jednej osady. Między jedną stacją a drugą daleko jest łatwiej ujrzeć antylopę lub niedźwiedzia, niż człowieka. Jest to kraj, całkowicie jeszcze przez białych ludzi nie zamieszkały. W głębi jednak znajduje się kilka fortów, położonych w pobliżu rezerwacji indyjskich, jako to: najniżej na południu fort Laramie, w środku fort Casper, wyżej nieco fort Reno, a najdalej na północ posunięty Kearney. Forty te zamieszkałe są przez nieliczne oddziały żołnierzy, zostające pod dowództwem kapitana, w którego kwaterze prze-

mieszkuje zwykle razem komisarz do spraw indyjskich pośredniczący między rządem Stanów a pokoleniami. Zresztą, tylko w Czarnych górach roją się już biali ludzie, zwabieni odkrytymi tam kopalniami, resztę zaś kraju zajmują dzikie zwierzęta i Indianie.

Przyczyną małego zaludnienia się Wyomingu jest także i jego klimat. Wyoming stanowi szczyt olbrzymiego płaskowzgórza, zalegającego cały środek Stanów Zjednoczonych. Jadąc do Wyoming bądź od wschodniej z Chicago, jedzie się ciągle pod górę. Cheyenne, stolica kraju, leży na 6,041 stóp nad poziomem morza. Niedaleko Cheyenne, licząc od Missouri, zaczynają się pierwsze domy śnieżne (snow-houses), to jest: długie galerie drewniane, ciągnące się czasem na kilkanaście mil, broniące pociągi od zasp śnieżnych. Najwyższa stacja Shyrman słynie z mnóstwa niedźwiedzi, które nie lękają się ustawicznej zimy. Na Shyrman pada śnieg latem i zimą, przyczem powietrze tak jest rozrzedzone, że z trudnością można odychać. Od tego punktu grunt poczyna się zniżać lekko w stronę Utah, zawsze jednak wznosi się na kilka tysięcy stóp nad poziom morza. Mogę powiedzieć, że, wyjechawszy w końcu października z Kalifornii, widziałem w ciągu kilku dni cztery pory roku, lato w Kalifornii, wiosnę na zachodnich stokach Sierrr Nevada, jesień w pęsepnej Newadzie i Utah, a zimę w Wyomingu. Dyabła droga i Dyabła brama, przez które przejeżdżać trzeba, chcąc się dostać do środka tego kraju, wydały mi się drogą i bramą zimy. Poglądając na okolicę z ciepłego jak salon, ogrzanego, poglądając na moich towarzyszy wyprawy, gentlemanów pierwszej wody, porozpieranych na miękkich aksamitnych fotelach lub zasiadających przed wykwintnie zastawionymi stołami, gawędząc z nimi, jedząc i pijąc, nie mogłem zrozumieć, jak może udać się nasza wyprawa w takim kraju, w takich warunkach i z takimi ludźmi. Trzebaż będzie, myślałem sobie, spędzać noce wśród jesiennej pory pod gołym niebem, na wozach czasem, a czasem i bez wozów, przy ogniskach, znosić mróz, wichry, przebywać zasp śniegowe, trzymać nocą straż za majdanem od Indian i dzikich zwierząt, a wreszcie dążyć naprzód w kraju bezludnym, bezdrożnym i przepętnionym trudnościami.

Ale przedewszystkiem strach mój przed zimą okazał się w daleko większej części błonnym. Zimny klimat Wyomingu tłómaczy się nie szerokością geograficzną jego położenia ale tylko wyniesieniem nad poziom morza. Południowa część terytorium, ta właśnie, którą mieliśmy zamiar splanować, nie jest dalej położona na północ, jak Hiszpania, Włochy, Turcyja itd.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Bajeczka.

Był sobie chłopczyk imieniem Janek,
Na pozór cichy, skromny baranek,
Ale w istocie wiskus jak mały,
Któremu nic się uczyć nie chciało.

Nieraz go ojciec szuka po ganku,
Biega i woła: "do książki Janku!"
A on się kryje i myśli sobie:
"Nie dziś, to jutro lekcję odrobie!"

Za to do łyżki, za to do miski,
Biegł, aż na nogach miewał odciski,
Lecz do nauki, skaranie Boże
Prośba i groźba zmódz go nie może.

Martwił się ojciec, martwiła matka
Zwłaszcza, jednego mając gagatka,
I nieraz sobie w kącie płakali,
Co też to z niego wyrośnie dalej?

A Janek jedno powtarzał w koło:
"Dziś się pobawię jeszcze wesoło,
Czas taki piękny, a praca nuży,
Zresztą przedemną rok leży duży!"

I tak przemknęły nad głową Jana,
Palące lato, jesień rumiana,
Przemknął do nauk wiek młody, świetny,
Z Janka osiołek wyrósł kompletny.

Dziateki kochane! W tym nowym roku
Los tego Janka miejcie na oku;
Rok nie tak długi, jak wy sądzicie,
A z drobnych chwilek składa się życie.

Wł. Bełza.

Ze świata zwierzęcego.

O wróblu.

Opowiadanie starego dzwonnika.

Opisywać wróbla pewnie nie potrzeba, bo
któżby go nie znał? — Należy on przecież do tych
bywalców wszędobylskich, co do których możnaby
się tylko pytać: — gdzie ich niema? Czy zimą, czy
latem, czy w ogrodzie, czy w polu, czy w mieście,
czy na wsi, wszędzie i zawsze spotkać można wró-
bla, tak, że u niektórych dzieci wyraz wróbel —
znaczy to samo co ptak.

Wszak wszyscy wiecie, że ma on kubraczek
szarobrunatny z czarnym kołnierzykiem, że dziób
ma krótki, gruby i doskonale łuszcze nim nasiona,

zaliczamy go też do ptaków, zwanych łuszczakami,
podobnie jak ziębę, kanarka, gila, szczygła itd.

Ale pewno tego nie wiecie, czy zaliczyć go do
ptaków pożytecznych lub szkodliwych? — Uczni
naturaliści, co prawda, do szkodliwych zaliczają,
tylko ptaki drapieżne, jak jastrzębie, wrony, sroki
itd., ponieważ one przez pożeranie innych ptaków
i zwierząt użytecznych, czynią ludziom szkodę.
Wszystkie zaś ptaki śpiewające uchodzą za bardzo
pożyteczne, gdyż tępią owady szkodliwe, pożerają
gąsienice, zjadają nasiona chwastów itd.

Wróbel niby to także należy do ptaków śpie-
wających, a jednak od tych ciągłych skarg na wró-
bla i szkalowań — aż uszy puchną.

Zapytać się rolników, co sądzą o wróblu, to
usłyszycie odpowiedź: ha złodzieje, szkodniki, że-
by co do jednego wyginęły" — Zapytać ogrodniki-
ków — to... ci jeszcze gorzej szkalują tego wróbel-
ka. Kiedy zwróciłem im uwagę, że przecież wró-
ble wiosną tępią gąsienice, usłyszałem odpowiedź:
"od takich przyjaciół ustrzeż nas Panie, bo z nie-
przyjaciółmi, choćby były gąsienicami — sami da-
my sobie radę."

I komu tu wierzyć?

Na obronę wróbla przytoczył mi ktoś historyę
prawdziwą, że jeden prezydent Stanów Zjedno-
czonych w Ameryce — zaprosił przed mniej więcej
stu laty wróbla do swego kraju — przysłał nawet
po nie osobny okręt, przyjął je z wielkimi uroczy-
stościami, i oddał im w opiekę wszystkie ogrody
Ameryki północnej, z wyraźnem poleceniem, aby
tępiły w nich wszelkiego rodzaju gąsienice, które
im wszystką roślinność zjadały.

Świadczyłoby to bardzo pięknie o pożyteczno-
ści wróbla, ale cóż, kiedy teraz podobno chcieliby
się pozbyć stamtąd za jaką bądź cenę tych szano-
wanych gości, bo jakkolwiek niema w sadach tam-
tejszych gąsienic, ale niema też i owocu, albo-
wiem... zjadają go właśnie — wróble.

Kiedy tak razu pewnego, gdy pierwszy śnieg
okrywał dachy i ulice, i wróble natarczywie w po-
dwórza się cięły — siedziałem przy oknie, i pa-
trząc na nie, rozmyślałem nad temi zgrabnymi za-
wadykami, jeden z nich usiadł właśnie na murku
pod oknem. Znanym to był łobuz: odzież jego oko-
pconą i gdzieś gdzie obszarpaną, przyletem wzrok
śmiały, — dowodził, że z niejednego on już pieca
chleb jadł i u niejednego sypiał komina. Patrzał
i teraz tak wzywająco, a tak przyletem sprytnie i
rozumnie, że ot, tylko przemówić do niego, a pew-
nieby zrozumiał i no swojemu odpowiedział.

Gdy tak chwile wzajemnie popatrzyliśmy na
siebie — mój wróbelek strzeonał skrzydełkami u-
stawił się wygodnie, aby go upadające krople śnie-
gu topniejącego nie dosięgły, otarł dzióbek i ku
wielkiemu memu zdziwieniu, tak mówić zaczął:

— Patrzysz na mnie ciekawie i chcesz pewno wiedzieć, co za jeden? — Otóż chcę ci się przedstawić.

— Urodziłem się w roku — mniejsza zresztą o to którego roku, bom też co prawda, do szkoły nie chodził, a rachować umiem tylko do ośmiu t.j. tyle, ile palców mam u obu nówek. Gniazdo nasze mieściło się na rozłożystym jesionie pod samem miastem. Ładne ono nie było: wyglądało jak żydowska karczma obdarta, ot jakby garść siana, wratrem aż na drzewo zagnana. Zato widoczne było z daleka — i nietrudno było ojcu trafić do niego, choćby też, co mu się nieraz zdarzało, zawieruszył się gdzie i późnym wieczorem do domu powracał. Podobność to w tem mieszkaniu przedtem gnieździły się wrony, ale to dla wróbla nie nowina usadowić się w czyjemś gnieździe. Czy tam w niem mieszkały wrony czy sroki, jaskółki czy sikorki — wróblowi wszystko jedno, byle tylko sam nie potrzebował budować gniazda. Elegancją i wykwintnem wykończeniem się brzydzi; na ochędostwo koło domu — szkoda mu czasu; naniesie trochę słomy, siana, wiorów, poobwiesza to byle jak, trochę swą osóbką ugniecie, i tak mieszka.”

— Było nas w domu pięcioro rodzeństwa — tęgich i zdrowych dzieciaków, więc też rodzice pilnie musieli pracować, aby nas wyżywić. Zwłaszcza matka biegła od rana do nocy, znosząc to gąsienice, to motyle, to chrabąszcze.

— Trudno jednak było pięć dziobów obdzielić, więc ciągle pomiędzy nami były kłótnie o to, komu smaczny kąsek ma się dostać.

— Kiedyśmy już trochę podrośli, to nieraz do takiej sprzeczki przyszło między nami, że i dzioby były w robocie. Ale to tak! widać cały nasz naród zawadyacki. Ojciec to nieraz z wyrwaną czupryną albo i bez ogona do domu powracał. Opowiadał coś potem, że niby za motylem goniąc, w cierniowy płot wleciał i tak odzienie poszarpał, ale matka znać dobrze wiedziała, co o tem sądzić, bo tylko biedaczka wdychała. Znała ona dobrze naturę swego męża, że byle o jakie ziarno, byle o jaką muchę, zaraz się z kolegami rwał do bójki, która do takiej nieraz dochodziła zaciętości, że pierze się sypało i kurz się wzbijał na drodze.

— Kiedyśmy już z ojcowskiego domu wyszli w świat, chciałem zaraz zabrać się do poważnej pracy, zbudować domek choć niewielki, i prowadzić życie spokojnego obywatela. Koledzy jednak odradzali mi.

— Co? — mówili — jesteś jeszcze za młody, nie znasz świata, nic nie widziałeś: — ot używajmy wprzód swobody!

Zebrała się więc nas gromada z całej okolicy — wszystko młodzież wesoła, i nie mogę twierdzić, żeby nam źle było. Między nami zawsze znalazło

się wielu takich, co to wiedzieli, gdzie najsmaczniejsze wiśnie i najśłodsza pszenica.

— Ja, z natury byłem trochę bojaźliwy, drżałem nieraz gdy zobaczyłem jakiego chłopca okrutnego z rozkrzyżowanymi rękami, stojącego wśród zboża, ale towarzysze moi tylko się śmiali ze mnie, boć też co prawda, ten chłop nie ruszał się wcale; pokazało się, że to był tylko strach na wróble.

— Gdy nadeszła jesień i prawie wszystkie ptaszki wybierały się w podróż za morze, znaleźli się i pomiędzy nami tacy, którzy zaczęli namawiać do tej wędrówki. Starsi jednak rodem oburzyli się na to.

— Nieładnie — mówili — opuszczać strony, w których się urodziliśmy i pierwszą młodość spędziliśmy. Prawda, że zimą nie będzie much i motyli, ani smacznych wisien na drzewach. Zboże także do stodoł pozwożą. Gdyby jednak nastąpiła wielka bieda, udamy się do ludzi, a oni nie opuszczą nas biedaków, nie pozwolą zginąć nam z głodu.

— I zostaliśmy wszyscy. Oj, bywało też nieraz chłodno i głodno, a i noclegi także nie były wygodne, jako że żaden z nas nie miał gniazda, i tylko albo gdzie w dachach słomianych, koło komińców, albo gdzieś w jakiej dziurze sypialiśmy.

Ale zato jakaż radość była między nami, gdy zawitała wiosna! Skoro śniegi topnieć zaczęły, a potem wody ruszyły, wtedy już gdzieś niegdzie ukazywała się trawka zielona wśród czarnych pól, i pąki na drzewach nabrzmiały, a słońce przygrzewało tak, że czuć, jak w całej przyrodzie życie się budzi. Wówczas to wśród naszej rzeszy takie radosne a hałaśliwe było świerkanie, że się po całej okolicy rozlegało. Wtedy każdy z nas już się rozglądał, gdzieby jaknajprędzej gniazdo jakie zdobyć, żoneczkę do niego wprowadzić, i miłe dzieci wychować.

— Wkrótce każdy upodobał sobie ładną pannę wróblíčkę, odbyło się wesele, któremu towarzyszyły tańce i śpiewy całego towarzystwa ptaszęcego, i każdy z nas założył własne gospodarstwo, to jest zbudował jakie takie gniazdo.

— Po niedługim czasie w każdym gniazdku znalazło się po kilka ślicznych jajeczek, a w trzy tygodnie potem w gniazdeczku leżały już malutkie dziecińy pisklęta i otwierały szeroko swe dzióbki piszcząc i wołając “papu!”

— O! wtedy rozpoczynała się dla nas praca żywienia tego naszego drogiego drobiazgu. Z początku mamusia siedziała w domu i pilnie okrywała skrzydełkami maleństwa, a tylko ja przynosiłem pożywienie, ale gdy dziatwa obrosła w piórka, wybiegła i żona, aby dziatwie przynieść pożywienie, tembardziej, że ja sam nie nadążałem, a malcy rośli i ciągle jeść wołali.

(Dokończenie nastąpi.)

"IDŹCIE DO JÓZEFA!"

"Idźcie do Józefa — mówił Faraon do przyciśniętych głodem i nędzą Egipcyan — on was opatrzy."

Historię o Faraonie i Józefie znacie dzieci kochane z Historii biblijnej i pamiętacie, że żaden ubogi, żaden potrzebujący nie odszedł od niego głodny lub smutny; — On każdego pocieszył, każdemu dał chleb potrzebny do życia — każdy odchodził od niego błogosławiąc mu.

I dziś są na ziemi i smutni i głodni, tacy, którzy pomocy i ratunku potrzebują. Do kogoż oni iść mają? Kto ich pocieszy, kto opatrzy? — Posłuchajcie. — Oto zwraca się do nich Kościół Boży i

woła, tak jak dawniej Faraon do Egipcyan: "Idźcie do Józefa! Ten Józef, to już nie ów Józef egipski, ale święty Oblubieniec Matki Chrystusowej, najpotężniejszy wspomociciel i opiekun ludzi — Ojciec biedaków i sierot; idźcie do Niego! On nie opuści nikogo, kto mu się w opiekę odda."

Przeczytajcie uważnie drogie dzieci, piękne a prawdziwe, następujące zdarzenie.

W Paryżu, na jednej z większych ulic, na 4m piętrze, w schludnym domku, mieszkała wdowa po oficerze z jedynaczką córką swoją, której było na imię Józefa. Szczupła pensja nie wystarczała, więc trzeba było zarabiać szyciem na utrzymanie. Póki Józia chodziła do szkoły, matka sama pracowała, lecz później matka zaczęła słabować, więc

(Dokończenie na s. 206).



DZIEWCZYNIKA I PTASZKI.

Czteroletnia Kasia, jadła sobie przed domem obiad, o czym nas przekonywa miska z łyżką i resztkami jedzenia. Gdy dziewczynka odeszła na chwilę od miski, przyleciały tam ptaszki, aby się pożywić.

Ptaszki zobaczyła Kasia. Jakżeby rada złapać

choć jednego i pobawić się z nim! W tej chwili pobiegła do pokoju, wzięła stamtąd wielki, tatusiowy kapelusz, zdjęła trzewiczki, które razem związane zawiesiła na ręce i cichuteńko skrada się ku niczego niespodziewającym się ptaszkom, by je przykryć kapeluszem. Czy jej się to uda?...

cały ciężar obowiązku spadł na Józię. Matka kochała ją całym sercem, jako dobre, posłuszne, pracowite dziecko. Dziewczynka oprócz na Mszę św. z rana, a potem do sklepu korzennego, gdzie kupowała, co było potrzebne do codziennego życia, nie wychodziła z domu nigdzie: cały dzień spędzała przy ukochanej matce z robotą w ręku. Jedyną pociechą i rozrywką dla Józi w chwilach wolnych był biały gołąbek, którego bardzo lubiła i własną ręką karmiła.

Pewnego lata matka jej zachorowała śmiertelnie. Józia pobiegła po lekarza, otoczyła matkę najtroskliwszą opieką, dzień i noc przy niej czuwała, ale choroba się wzmagała. Dobre dziecko z płaczem modliło się gorąco o zdrowie dla matki, ale wola Pana Boga była zabrać ją do nieba. Józia została sierotą i w jakże smutnem położeniu! Trochę zapasów pieniężnych wydało się na doktora, aptekę i pogrzeb — Józia została bez centa! Rocziny zamożne, gdzie chodziła szyć, powyjeżdżały z miasta na całe lato. Nie było co jeść... co tu począć? — „Ja umrę z głodu — powiedziała sobie Józia smutno, ale z poddaniem woli Bożej — ale mój biedny gołąbek, tak mi go żal!” — Zamyśliła się chwilę i nagle zawołała z radością:

— Już wiem, co zrobię! Polecę go św. Józefowi. On go nie opuści. — To mówiąc, wzięła papier, ucięła karteczkę i napisała na niej następujące słowa: „Święty Józefie! ja umieram z głodu, bo nie mam pracy... ale ratuj mojego gołąbka!” Józia przywiązała tę kartkę białą tasiemeczką na szyi gołąbka, potem otworzyła okno i ucałowawszy po raz ostatni ukochanego ptaszka, wypuściła go na ulicę. Głodny gołąbek korzystając z wolności, poleciał, żeby sobie znaleźć jakieś pożywienie, a widząc w kamienicy naprzeciw otwarte okno, siadł na niem. Jakaś starsza pani, ładnie ubrana, ukazała się w oknie, uchwyciła gołąbka i wzięła do pokoju. Widząc to Józia, natychmiast ukłękła i zaczęła gorąco się modlić do św. Józefa.

Nie upłynęło pół godziny, aż tu gołąbek wraca do Józi i puka dzióbkiem do okna. Na szyi miał karteczkę zawieszoną na czerwonej wstążeczce, a na niej napis: „Proszę przyjść na I-e piętro pod liczbą 32, na ulicę N..., mam dla pani pilną robotę.”

Józia zrozumiała odrazu, że to św. Józef zsyła jej tę niespodziewaną pomoc i zaraz Mu też ze łzami w oczach za nią podziękowała. Potem ubrała się i poszła naprzeciw pod liczbę 32. Pani X., bogata wdowa i matka dorosłego już syna; zachwycona była skromnością i przyzwoitem zachowaniem Józi. Dowiedziawszy się o jej smutnem położeniu, wzięła ją zaraz do siebie, a przekonawszy się, że Józia nie tylko była miłą i układną panią, ale także bardzo pobożną i cnotliwą, chciała ją mieć za córkę i wydała za swego syna.



PRZYGODY JÓZIA.



Według M. Lipskiej opowiedział F. Porąbka.

(Ciąg dalszy.)

Czytelnicy przypominają sobie przygodę naszego Józia i to, że, dzięki pani Sukiennickiej wszystko się skończyło na strachu. Józio jeszcze zabawia się z innymi dziećmi, albo i sam w procesy, lecz nie z takim już krzykiem i hałasem, jak poprzednio. Bawi się też często i w księżdza proboszcza, odprawiając nabożeństwa, jakby w kościele. Ale u naszego bohatera wszystko się razem miesza: procesya ze mszą, a ksi. proboszcz jest zarazem i księdzem, i ludźmi, i organistą i trębaczem, grającym na procesyi. Dla Józia zgoła jest obojętne, że proboszcz jednocześnie jest i organistą i księdzem i ludźmi.

Ponieważ matka nie bardzo pozwala na te zabawy, więc Józio ucieka do pani Sukiennickiej, z której dziećmi we trójkę się zabawia. Nauczył się też już trochę grzeczności, bo ile razy przyjdzie do tej pani, zawsze jej się pyta:

— Czy pani pozwoli bawić się w procesy albo w nabożeństwo?

Rozumie się, że zawsze uzyskuje pozwolenie z tą tylko uwagą, aby dzieci za bardzo nie krzycały i nie hałasowały. I słusznie, bo zabawa nie zależy na krzykach, wrzaskach i hałasach. Tylko dzieci niegrzeczne nie umieją się bawić bez wrzasków. Zapominają albo też nie wiedzą o tem, że takimi krzykliwymi zabawami sprawiają przykrość starszym osobom, a szczególnie wielką wyrządzają przykrość ludziom chorym. To wszystko pani Sukiennicka strąca się wytłómaczyć małemu Józiowi i widać, że on to musiał zrozumieć, bo już tak nie krzyczy i nie trąbi głośno, jak przedtem. Myślimy, że jak Józio tak każde dobre dziecko zawsze zrozumie, gdy się mu co wytłómaczy słowami i wcale nie potrzebuje, żeby mu tłumaczyć różgą, czy nie tak, mili czytelnicy?

Józio przynajmniej dotąd wszystko dosyć dobrze pojmuje, a pojawiający się wypełnić. Lecz nie wie on jeszcze wszystkiego, jak świadczy następująca jego przygoda z kotem Maciusiem.

Małec zapomina czasami o księdzu proboszczu, nabożeństwie i procesyi, a przychodzi mu na myśl doktor Zabłocki, który kiedyś leczył jego matkę. Wówczas Józio wygina swą drobną postać ręce chowa do kieszeni i, przechadzając się bardzo poważnie po izbie, powtarza:

— Zabłocki „dochtór” jestem!

— Podbnyś ty do doktora, jak pięść do nosa — zrzędzi matka.

— „Dochtór” jestem! — stanowczo twierdzi Józio.

Ale skoro jest doktor, musi być i pacjent, inaczey dochtór nie miałby nic do roboty i stałby się zupełnie niepotrzebny na świecie.

Józio chce mieć koniecznie jakiego pacyenta, szuka i znajduje. I co też za pacyenta, myślicie, znalazł sobie Józio? Zapewne, powiecie, że jakiego pajaca, z drzewa wystruganego. Otóż nie, Józio wie, że pajac z drzewa wystrugany nie może chorować, dlatego poszukał sobie naprawdę żywego pacyenta.

Tym pacjentem był bury, stary kot, który pod tę porę wylegiwał się i przeciągał leniwie pod ciepłym piecem.

Chłopiec porwał go na ręce z pod pieca i umieścił na krzesle, które w tej chwili miało być łóżkiem chorego.

Kot, nie przeczuwając nic złego, rozciągnął się jak długi na krzeselku; po chwili przeciągnął się łagodnie, ziewnął parę razy, a wreszcie począł się najspokojniej obmywać.

Józio pamiętał, że doktor opukiwał matkę, jakimś szklanym przyrządem mierzył gorączkę, więc te same czynności postanowił wykonać na kocie.

Zamiast lekarskiego termometru, którego, rozumie się, nasz „dochtór” Zabłocki mieć nie mógł, wziął kawałek patyka i, trzymając go w ręce, zbliżył się do kota.

Kot jakoś podejrzliwie spojrzął na Józia, nie podobał mu się patyk, który chłopiec trzymał w ręku. To też podejrzliwie spojrzawszy o nie bardzo dobre względem jego kociej mości zamiary, wstał na nogi i zamierzał skoczyć ze stołka.

Lecz „dochtór” uprzedził wykonanie kocich zamiarów, capnąwszy swego pacyenta za kark i przycisnąwszy do stołka.

Kot po chwilce wstał i począł mruczeć, łasząc się.

Józio uspokoił się co do ucieczki kota.

Chodziło mu przedewszystkiem teraz o to, aby się kot położył, bo każdy chory musi leżeć.

Aby położyć kota, zaczął go ciągnąć za nogi, sądząc, i słusznie, że kot musi się położyć, jeżeli nie będzie mógł stać na nogach. Tak się też stało. Kot się przewrócił, lecz nim „dochtór” zdołał go zbadać, już powstał.

Józio poderwał mu na nowo nogi i kot się przewrócił, lecz jeszcze prędzej powstał niż za pierwszym razem, bo już był pewien, że chłopiec coś złego chce mu zrobić.

Józek rozgniewał się: pchnął kota po raz trzeci i, nauczony doświadczeniem, silnie przytrzymał jedną ręką. Tym sposobem pacjent został unieruchomiony.

Rozpoczęło się teraz lekarskie badanie: najprzód opukiwanie, przy którym kot tylko ogonem poruszał, i zdało się, że to mu nawet pewną przyjemność sprawia; następnie przyszło obsłuchiwanie, przy którym kot zaczął miauczeć; wreszcie przyszło mierzenie gorączki. Lecz tu właśnie pan „dochtór” Zabłocki spotkał się z bardzo energicznym protestem kota.

Skoro kot zobaczył drewnienko w ręce chłopca i że on tem drewnikiem chce coś majstrować około jego kociej mości, zaczął miauczeć przeraźliwie i wydzierać się z rąk nieproszonego „dochtora”.

Józio zaledwie mógł utrzymać kota. Aby ruszać się nie mógł, chwycił go lewą ręką za piersi, a prawą wpychał drewnienko pod prawą łapkę kota.

Lecz kot dłużej już nie mógł wytrzymać, przerażony zamiauczał bardzo głośno, jakby go ze skóry obdzierano i w tej samej chwili chwycił chłopca ostrymi zębami za palec.

Józio krzyknął i puścił kota, który w kilku sekundach znalazł się za drzwiami.

„Dochtór” Zabłocki stał przez chwilę, jakby oniemiały i z bólu i ze zdziwienia nad postępkiem kota. Obejrzał palec, na którym widniały ślady zębów kocich. Chciało mu się płakać, ale wstrzymał się z bojaźni przed karą za dręczenie kota.

Odtąd Józio, chociaż czasami bawi się w „dochtora” Zabłockiego, to jednak nie leczy już kota, względem którego zachowuje się z wielkim respektem.

(Dokończenie nastąpi.)

KURKA.

Czemu wciąż tak krzyczysz kurko?”

Dziewczątka pytało:

„Pełne wrzasków twych podwórko!

„Czyliż się co stało?”

— Nie kochana panienczko,

— Gdakanie me głosi,

— Że krągluchne znów jajeczko

Zniosłam dla gosposi.

— Z jajka będzie leguminka,

— Lub pyszne ciasteczko!...

— Już ci do ust idzie ślinka!

— Nieprawdaż, dziewczeczko?!...

K. Wachtel.



MACIERZ POLSKA

TYGODNIK POWIEŚCIGWO ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
wychodzi co czwartek, każdego tygodnia

Adres redakcyjny: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Prenumerata roczna w nosi \$1.00. — Po edynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ct

Adres administracyjny: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET, CHICAGO, ILL.

MACIERZ POLSKA

AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE
issued at Chicago every Thursday

Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month Single copy 4 cents

Address of Business Office

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA

141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS

PRZYGODA Z LALKĄ.

Mała Zosia z braciszkiem w piękny, wiosenny dzień zabawiali się nad brzegiem strumyka. Z dziećmi był ich wierny przyjaciel Fiduś.

Zosi przytrafiła się przygoda: lalka, jej ulubienica, wpadła do wody, nie wiadomo, czy przypadkowo, czy też może psotny braciszek wrzucił ją do strumienia.

Gdy wierny Fiduś spostrzegł lalkę we wodzie, bez namysłu wskoczył do rzeczki i popłynął na ratunek lalce.

Tę właśnie chwilę przedstawia nam obrazek.

OSTROŻNOŚĆ NIGDY NIE ZASZKODZI.

Zapewne nie ma ani jednej czytelniczki, ani jednego czytelnika naszego pisma, którzyby nie lubili małych kotków. Zwierzątka te są bardzo nie tylko pożyteczne, ale też i przyjemne, szczególnie gdy się bawią, figlują, skaczą, lub na wyścigi biegną za kawałkiem papieru, kłębkami nici, albo orzechem. Pomimo to nie zawadzi być ostrożnym z temi miłymi zwierzątkami.

Opowiem tu zdarzenie, które zakończyło się bardzo smutnie.

W pewnym domu była kotka, zwana Milutką. Rzeczywiście zasługiwała ona w zupełności na to miano. Milutka nikogo nie zadrasnęła, zawsze chowała ostre pazurki, gdy z dziećmi się bawiła. Nigdy nie wypijała śmietanki z garnuszka, niczego nie dotknęła, jadła tylko to, co jej dano. Słowem była to kocina wzorowa. To też wszyscy z nią chętnie figlowali, każdy głaskał i pieścił.

Milutka miała dwoje pięknych kociątek.

Kiedy podrosły, bawiła się z nimi, przynosiła im w pyszczku różne zabawki, najczęściej jednak kłębek nici. Przywoływała je do siebie miaucząc: "miau! miau!..."

Na to wołanie kocięta przybiegały z pod kanapy, krzesła, a nawet z drugiego pokoju. Wszakże już teraz spostrzeżono, że Milutka mniej była łagodną, niż dawniej, bo ile razy usłyszała miauczenie któregoś z kotków, wpadała w gniew, przypuszczając, że robią mu coś złego.

Dwunastoletni Karolek bardzo lubił małe kotki, siadał często na krześle, przywoływał je, a nawet nie odpędzał, gdy mu włożyły na ramiona i na głowę.

Kiedy pewnego razu Karolek bawił się z kotkami, Milutka, powróciwszy z podwórka, zaczęła głośnym miauczeniem przywoływać je do siebie.

Na wołanie matki, kociaki chciały zeskoczyć, ale nie mogły, bo złośliwy Karolek przytrzymał je rękami.

Rozgniewana Milutka skoczyła na chłopca, zapuściła pazury w pobliżu jego oka i zeskoczyła na podłogę.

•Krew popłynęła z twarzy Karolka. Gdyby pazury kotki o pół cala wyżej utkwily, chłopczyk postradałby był oko.

Niech więc mali nasi czytelnicy pamiętają o tem, że zarówno psy jak koty należy trzymać w pewnem oddaleniu i nie trzeba ich nigdy drażnić, bo w szale gniewu mogą nam łatwo niepowetowaną uczynić szkodę.

KĄPIEL NIEDŹWIEDZIĄTEK.

Prawdziwe zdarzenie.

Jeden uczone przyrodnik, zwiedzał lasy Siemioogrodu w celu badania roślinności. Zmęczony usiadł nad strumieniem i rysuje. Z nagle słyszy szmer, jakieś mruczenie wcale niepodobne do głosu ludzkiego i chrzęst suchych gałązek, łamiących się pod czyjś ciężkim stąpaniem.

Ledwo zdążył obejrzeć się; rozchylają się gałęzie zarośli i ogromna niedźwiedzica idzie do strumienia, wiodąc za sobą dwoje małych niedźwiedziątek.

Strach ogarnął naszego przyrodnika. Niemiło jest dostać się w ząbki pani niedźwiedzicy, która bez patelni i ognia, przyrządza śniadanie swym kudłatym synkom, nie potrzebując masła, ani soli do usmażenia bewszytków.

Przyrodnik rozumiał, że ucieczka prędzej zdradzi jego obecność, więc się przyczaił za krzakiem, mówiąc "Pod Twoją obronę", bo nieraz doświadczył, że pod opieką Maryi, każdy czuje się bezpiecznym.

Niebawem spostrzegł, że mama niedźwiedzica zajęta jest tylko swemi czworonożnymi dziećmi i na nic nie zwraca uwagi.

Odetchnął swobodniej i począł przyglądać się następującemu widokowi:

Kudłata mama, troskliwa o porządek i czystość swych dzieci, wzięła lekko zębami za skórę na karku jednego malca i zanurzyła go w wodzie. Niedźwiedziątko ani pisnęło, widać mu tchu zabrakło, tylko się skurczyło w chłodnej wodzie.

Mama niedźwiedzica podniosła je, wstrząsnęła, zanurzyła raz jeszcze, potem postawiła na trawie całe drzące i zaczęła lizać główkę i pyszczek wykąpanego synaczka, zbierając resztki wody z lśniących kędziorów niedźwiedziątka.

W czasie tej operacji braciszek wykąpanego, ze drzeniem i trwogą przyglądał się wszystkiemu, czując, że i jego to nie minie. Niewiele myśląc, spróbował ratować się od kąpieli ucieczką. Spostrzegła to mama, a nie znosiła nieposłuszeństwa i samowoli. Mruknęła więc nakazująco, i mały tchórz wrócił na miejsce, czekać swej kolei, przyczem skulił ogonek i nóżki ze wstydu.

Za chwilę i drugi malec został zanurzony w strumieniu.

Po skończonej kąpieli, otrząśnięto z wody futerka i mała rodzina wróciła w głąb lasu. Niedźwiedziątka biegły naprzód podskakując i przypatrując się kropelkom wody na kędziorach ich futerek, a zaniemi, poważnym krokiem postępowała mama, dumna z surowego wychowania swych synków.

Podobna kąpiel, przydałaby się pewnemu chłopcu, który ma ręce — zbliżone kolorem do brunatnej skóry naszych małych niedźwiedziątek, ale nie ma ich odwagi, żeby się w wodzie zanurzył.

Mamy nadzieję, że przykład niedźwiedzicy nie zostanie bez skutku.

S. Helena, C. R.

S. HELENA, C. R.

Pasowanie na rycerza.

Powieść historyczna.

III.

Nie było wtedy żelaznej kolei, ani telegrafów, więc też po wyruszeniu Bolka, przez dwa dni nie przyszła o nim wieść żadna. Nadchodziła uroczystość Wniebowzięcia, oczekiwano królewicza niecierpliwie; wysyłano gońców na gościńce, czy nie widać wracającego rycerstwa, ale daremnie.

Nadeszło święto; król, choć chory, kazał zanieść się do kościoła katedralnego, gdzie celebrował arcybiskup. Brakowało mu syna, więc smutek zapanował na jego wybladłej twarzy. Odprawoino na-

bożeństwo, dzień upłynął, noc zapadła, a Bolka nie było.

Nad ranem z rozkazu królewskiego wybierał się goniec w stronę granicy, by dostać wieści o królewiczu i jego wojsku; już miał puścić się w drogę, gdy nagle coś zahuczało, zatętniło, jakby burza z wichrem i Bolko ze swą drużyną w kilkadziesiąt koni lotem orła wpadł na podwórze zamkowe.

Wszyscy wybiegli naprzeciw niemu, witając z radosnym okrzykiem królewicza.

Bolko miał na sobie ślady zwycięstwa: hełm jego porąbany i zgięty, zbroja potłuczona oszczepem dzikiego Pomorczyka, koń pokaleczony a on sam, królewicz poraniony i krwią zbryzgany. Oszczep jego był pokrwawiony i nadłamany, miecz cały zbiczony krwią, a płaszcz i kaftan podziurawiony.

Sam widok Bolka świadczył, że brał udział w najkrwawszej walce i że wyszedł z niej zwycięsko.

Ci, co się znali na rycerskiej sztuce, ledwo spostrzegli królewicza w takim stanie, wyczytali na nim, jakby wypisaną całą historię walki i zwycięstwa, podnieśli też ręce z podziwem i uwielbieniem, witając młodego bohatera.

Gdy Bolko wszedł do ojca, znówu powtórzyły się okrzyki podziwu, na widok jego zbroi i hełmu. Król wstał, by uścisnąć syna; nastąpiło głuche milczenie, od słów wymowniejsze.

Cała drużyna królewicza miała na sobie podobne jak on znaki boju: pogięte zbroje, pokrajane ręce, pokaleczone nogi, ale wielką radość w sercu i na twarzy, z narażeniem własnego życia bronili ojczyzny i odpędzili horde pogan od jej granic.

Liczna służba zamkowa zbiegła się oglądać ich, a oni wołali, wskazując na swego młodego wodza: "Coto my, patrzcie na królewicza! On z nas wszystkich najwaleczniejszy, jego miłość ojczyzny i wiary krwią wypisana na zbroi i mieczu!"

Większa część wojska została jeszcze przy granicy, sam tylko ze swą drużyną, po dokonaniem zwycięstwa, pędził jak wiatr do zamku, by uspokoić chorego ojca swą obecnością i dobrą wieścią o świetnym zwycięstwie.

Młody królewicz, lekko ranny, a srodze zmordowany i pobity, potrzebowałby dłuższego spoczynku i łoża, tem bardziej, że nie spał prawie dwie noce, ani miał czasu myśleć o jadł; ale nie dla niego wczas i wypoczynek. Nazajutrz miała się rozpocząć uroczystość pasowania na rycerza. Dostojni goście, biskupi i prałaci nie mogli już dłużej czekać, a Bolkowi pilno było do rycerskiego pasa. Kazał więc opatrzeć swą lekką ranę w ramieniu, obmył się z krwi i kurzawy, posilił się prostym, a zdrowym pokarmem i podziękowawszy Bogu w zamkowej kaplicy za odniesione zwycięstwo i zachowanie mu życia, poszedł przespać się trochę.

Tymczasem w katedrze i na zamku czyniono wielkie przygotowania. Wydobyto ze skarbcza królewskiego złotolite kapłańskie szaty, drogimi kamieniami sadzone, cenne kadzidła ze wschodu przedziwnej woni, sypane do trybularzy, by miłym zapachem napełnić świątynię i krużganki.

Na zamku stoły królewskie lśniły od srebrnych i złotych naczyń i pucharów szmaragdami wysadzanych, a dla ozdoby stały pęki piór strusich w pięknych złocistych wazonach, bo wtedy pióra te były cenniejsze nad złoto, gdyż z wielką trudnością je sprowadzano z dalekiej Afryki.

Nowe, złote hełmy, wieńczono czaplemi pióry, czyszczono zbroje zdobne w turkusy i ametysty, bo wtedy Polska słynęła wielkimi bogactwami, jak to w swej kronice opisuje Kadłubek.

Następnego dnia Bolko z dwunastoma towarzyszami, w skromnym ubraniu, jakby pokutnicy, udali się na Mszę świętą i odbyli spowiedź. Nie godziło się dnia tego żadnej używać rozrywki, ani biesiadować z innymi. Stół mieli osobny, bardzo skromny, zachowywali milczenie i wielkie skupienie ducha. Były to jakby rekolekcje przed ważną uroczystością. Po wysłuchaniu niesporów, przyszli rycerze zostali w kościele przy wystawionym Najśw. Sakramencie i płonących oliwnych lampach. Całą noc spędzili w czuwaniu na modlitwie.

Bolko i jego towarzysze byli jednak oodziani: w długie szaty sukienne, bez żadnych ozdób.

Gdy się rozwidniło, wyszedł biskup ze Mszą św., przy której przystąpili do Komunii św.

Po nabożeństwie wrócili do zamku, zmienili odzież pokutną na krótkie ksztowniejsze ubranie, a Bolkowe było bramowane gronostajem. Po śniadaniu przystąpili starsi wojewodowie do odziewania królewicza wedle zwyczaju.

Najstarszy z nich podał mu koszulę, wtedy zwaną giezło, u szyi i rąk bogato złotem wyszytą, a bieluchną jak śnieg, gdyż oznaczała ona niewinność cnotami przyozdobioną.

Drugi wojewoda przyniósł ubranie z drutu żelaznego, cienkiego, jakby siatka dziana misternie. To oznaczało włosienicę rycerza, godło trudu, bołu i wstrzemięźliwości.

Trzeci wojewoda na to gzło druciane wdział kaftan łosiowy, który pokrył włosienicę, jak człowiek szlachetny powinien przed wzrokiem ludzkim ukrywać swe tudy, walki i ciepienia, a cnotę osłaniać skromnością. Na kaftan zaczęto opinać zbroję, mającą osłaniać całe ciało do rękolejści i kolan. Na to wszystko rzucono płaszcz, szczęściem z lekkiej, jedwabnej tkaniny, gdyż skwar sierpniowy nużył ciało zmęczone bojem i pokryte sińcami od pomorskich razów. Tak samo zostali przwozdziani towarzysze Bolkowi, dla których on kazał zawczasu przygotować jednakie gzła, zbroje i miecze.

Tak przybrane młode pacholęta, poważnym krokiem, uroczyście postępowały do katedry, gdzie na wielkim ołtarzu złożono miecze rycerskie i pasy, które arcybiskup poświęcił.

Gdy orszak królewicza wyruszył z zamku, niezliczone tłumy ludu przystrojonego odświętnie wypełniały podwórze, wały i dalsze ulice, ciesząc swe oczy widokiem młodego monarchy.

“O, witajże witaj, miły Hospodynie!” odzywały się radośne okrzyki.

W katedrze na tronie siedział wybladły Władysław Herman na wezgiłowiu pod baldachimem.

Presbteryum wypełniało dostojne duchowieństwo, a strojne damy w uroczych, malowniczych ubraniach zajmowały ławy, pokryte kobiercami. Nie brakło kwiecica, nie brakło wachadeł z piór strusich, które trzymały pacholęta, pięknie przystrojone. Miła woń aromatycznych kadzideł przepępiała powietrze, tworząc lekki obłoczek w górnej nawie świątyni.

Królewicz Bolko podszedł do stopni ołtarza, ukląkł pokornie i długo się modlił, polecając Bogu swe przyszłe rycerskie życie.

Po modlitwie przybliżył się do ojca, przed którym miał składać przysięgę.

Jednaka dla wszystkich była rota, to jest forma przysięgi: Obowiązywano się krwią własną, życiem i mieniem, oraz wszystkimi siłami bronić wiary, Kościoła, Ojczyzny, walczyć z pogany, otaczać opieką wdowy i sieroty i stawać w obronie uciśnionych.

Po złożeniu przysięgi, przystąpili do królewicza starzy wojacy i przypięli mu złożone ostrogi

Wtedy klerycy zdjęli z ołtarza poświęcone miecze, z których każdy był zawieszony na pasie złocistym, sadzonym drogimi kamieniami, a pochwę miał jakby usianą w drobne złote krzyżyki.

Miecze te nieśli rzed króla. Bolek ukląkł u nóg ojcowskich, a król po trzykroć uderzył go mieczem po ramieniu i drżącemi rękoma przepasał synowi miecz do boku.

Uderzenia te znaczyły, że rycerz powinien zność cierpliwie wszelkie ciosy w obronie wiary, prawdy i sprawiedliwości. Tak jak przy Bierzmowaniu daje biskup lekki policzek na znak, że Chrześcijanin, bierzmowany, ten rycerz Chrystusowy powinien zność wszelkie upokorzenia i chłosty w obronie religii i w walce z wrogami Kościoła.

Podniósł się Bolko z kolan, radością promieniący, a w duszy czynił mocne postanowienie nie użyć nigdy miecza porywczo, bez ważnej potrzeby, lub w uniesieniu.

Król czuł się osłabionym, więc starsi wojewodowie wyręczyli go w przypasywaniu mieczy towarzyszom Bolka.

W katedrze zabrzmiało “Te Deum”, a na znak

dany odezwały się przed kościołem trąby, rogi, gędzby i liry. Uderzono w dzwony, ale okrzyki tłumów zagłuszyły wszystko.

.. Wesoła uczta trwała dni kilka, były łowy i rycerskie i gonitwy, dzbały słodkiego miodu i ogromne misy pieczonego mięsiwa obficie rozdawano ubogim.

Tak się odbyło pasowanie Bolka na rycerza.

MAŁA ŁOPATKA.

W pewnym domku siedziała przy oknie uboga wdowa, zajęta szyciem. Pilno jej było, ponieważ chciała ukończyć pracę na dzień oznaczony.

Wtem przed domem dał się słyszeć miły głosik dziecka, i mała twarzyczka ukazała się w oknie.

— Już tu jestem, kochana mamo, wołała ośmioletnia córeczka, powracająca ze szkoły. Siostra nauczycielka, opowiedziała nam dzisiaj bardzo piękny przykład. Uważałam dobrze, będę go mogła mamie powtórzyć.

Matka z uśmiechem powitała dziecko, i zaczęła szyc dalej.

Niezadługo też drzwi się otworzyły, i mała siedziała już na stołeczku i zjadała smacznie jabłuszko, które jej matka podała.

— Słuchaj, moja córko, — rzekła matka, Bóg zawsze o nas pamięta.

Nasz litościwy sąsiad ofiarował nam zasób węgla. Widziałas je zapewnie; leżą przed domem. Wystarczą nam na czas dłuższy.

Na te słowa dziewczynka zerwała się ze stołeczka, chwyciła za łopatkę leżącą pod piecem i rzekła:

— Mamo ja zniosę węgle do szopy. I nie czekając na pozwolenie matki, podskoczyła sobie, i już jej nie było w pokoju.

Matka spoglądała przez okno na swą córeczkę, wijającą się z łopatką w ręku; westchnęła cicho Boże, dziękuję Ci, żeś mi dał taką dobrą córkę.

Tymczasem pracowitość dziecka zwróciła na siebie uwagę przechodnia.

Zatrzymał się przed nią i zapytał:

— Czy zamierzasz przenieść wszystkie te węgle tą małą łopatką?

Na głos nieznanego, dziewczynka powstała, a otrząsnawszy fartuszek z kufru rzekła śmiało:

— Tak jest, proszę pana.

— A kiedy ty skończysz? — pytał nieznanomy dalej.

— Gdy będę nosiła tak długo, aż pozniosę.

Odpowiedź ta uczy nas, że pilnością i pracowitością pokonamy trudność każdej pracy, i że pomysłność jej nie zależy od narzędzi, których używamy, lecz od dobrego ducha i wytrwałości.

Elżbieta Stachowiczówna.

ZE ŚWIATA.

Jedną z najprzyjemniejszych rozrywek dla człowieka jest dobry śpiew i muzyka. Dotąd jednak ludzie głusi z przyczyny swego kalectwa pozbawieni byli tej przyjemności. Obecnie atoli nietylko ludzie ze słuchem mogą się zachwycać śpiewem i muzyką, lecz także i głusi, a to dzięki wynalazkowi francuskiego lekarza Marcelego Dupout'a, który wynalazł przyrząd, umożliwiający głuchym od urodzenia słyszeć muzykę.

Przyrząd ten jest połączeniem zwykłego fonografu z Mikrofonem.

Dźwięki tonów przeprowadza prąd elektryczny, który w tym celu przechodzi przez całe ciało człowieka i wywołuje to samo wrażenie, jakie wywołuje w uchu naszym muzyka i śpiew.

Wynalazca tego przyrządu, opierając się na doświadczeniach poczynionych nawet z głuchonimymi od urodzenia, utrzymuje, że za pomocą jego przyrządu nietylko głuchy słyszy muzykę i otrzymuje te same wrażenia co i każdy inny zdrowy człowiek, lecz, co ważniejsza, że można dzieci głuche i nieme od urodzenia uczyć muzyki.

Będzie to wielkiego i doniosłego znaczenia wynalazek, jeżeli sprawdzi się przypuszczenie, czy twierdzenie wynalazcy.

PAŻ I ZAKONNIK.

Paż, ulubieniec królewski, pewnego razu zwiedzał klasztor, w którym zakonnicy pędzili żywot chwale Boga poświęcony.

Gdy się pomodlił i złożył ofiarę na biednych, rzekł do jednego z braci zakonnych:

— Daj mi radę, ojcze, jak mam postępować, by zasłużyć sobie na miłość u Boga i ludzi?

Starzec spojrział badawczo w jasne oczy młodzieńca i odrzekł:

— Zapytaj o to najpierw siebie samego.

Paż zamyślił się.

— Ne mogę znaleźć odpowiedzi — rzekł po chwili zafrasowany.

— A umiesz na pamięć przykazania Boskie?

— Umie.

— Ale zapomniałeś o nich przed chwilą mój synu... Toć w nich powiedziano, jak żyć masz, abyś zasłużył na miłość Bożą i ludzką. "Miłuj Pana Boga z całego serca, z całej duszy, a Bliźniego swego jak siebie samego". Oto najlepsza rada, synu.

Paż złożył na piersiach rękę i odrzekł:

— Dziękuję wam, ojcze, za to przypomnienie. Będę się starał nigdy waszej rady nie zapominać.

— I wierzaj, że jeżeli dotrzymasz słowa, znajdziesz w życiu prawdziwe szczęście.

Stef. Gębarski.

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECJANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

— Czy nie budzi się w sercu twojem podejrzenie. kto mógł tak niegodnie oskarżyć twego ojca przed imperatorem? — zapytał naraz Pliwius.

— O cóż go oskarżono?

— Że sprzyja chrześcijanom i daje im przytułek u siebie. Nikt z dostojnych Rzymian w to nie wierzy, ja również pewny jestem, że to oszczerstwo.

— Podejrzewać nigdy i nikogo nie mam zwyczaju — odparł Marcelin — nie mogę przeto dać odpowiedzi na twe pytanie, szlachetny Pliwiusie.

Czarne oczy Alcybiadesa zamigotały złośliwie, zwrócił się do Mora i rzekł:

— Jakie to szczęście dla nas, że Marcelin taki głupi.

Grube wargi Mora rozchyliły się w uśmiechu, można było rzec, że ma usta od ucha do ucha.

— Odpowiedź ta nie licuje z młodością twoją, synu Virinusa! — rzekł tymczasem Pliwius, badawczy wzrok topiąc w oczach Marcelina.

— Czy młodość i dobroć nie chodzą w parze? — zapytał Marcelin.

— Lecz rozum i młodość rzadko kiedy — odparł Pliwius. — Odpowiedź twoja była odpowiedzią mędrca. Cześć temu, kto cię kształcił.

To powiedziawszy, powstał.

— Podróżnym podobno wygodniej będzie spoczywać w sypialni, niż przy stole biesiadnym — dodał — czas kłaść się do snu.

I zwrócił się do stojącego Alcybiadesa.

— Zaprowadź mnie na pokoje wielkorządcy: — rzekł rozkazująco.

Alcybiades zgiął się zwyczajem niewolników i pośpieszył spełnić rozkaz.

— A gdy odprowadzisz gości, przyjdiesz do mnie — rzekł Marcelin.

— Jeśli łaskawy Pliwius zezwoli mi oddalić się od siebie — odparł Alcybiades. Panem moim jest teraz nowy wielkorządcy.

Na twarzy Marcelina odbiło się zdziwienie, na razie nie znalazł odpowiedzi, dopiero po chwili odparł ze smutkiem:

— Więc ty byłeś tylko moim niewolnikiem, a ja sądziłem, że przyjacielem.

To powiedziawszy oddalił się z sali biesiadnej.

— Łatwo ci rozstać się z dawnym panem — rzekł Pliwius do Alcybiadesa, gdy się znaleźli sam.

— Czuję naganę w twoich słowach, wielki Pliwiusie — odparł Alcybiades, podnosząc głowę

od nóg nowego wielkorządcy, którego rozzuwał. Wyzwoleńcem jestem, mógłbym zrobić, co mi się podoba, mógłbym pozostać z Marcelinem i dzielić jego losy, ale nie bez powodu uczynić tego nie chcę. Kto zdradził bogów, zasłużył, żeby go ludzie zdradzili.

— Czy mam rozumieć, że Marcelin jest chrześcijaninem? — zapytał Pliwius.

— Czy nim jest, nie wiem, ale to pewna, że sprzyja nauce chrześcijan. Mogę ci świadków postawić na to, panie! Całe godziny spędza z chrześcijanami i prowadzi z nimi tajemnicze rozmowy. matka jego sprzyja również chrześcijanom.

— Więc Dyoklecjan nie bez powodu usunął stąd Virinusa — rzekł Pliwius, marszcząc groźnie czoło. — Tak niechętnie poddaję ucho obmowie, nie wierzyłem w to, co mi w Rzymie opowiadano, miałem współczucie dla Virinusa, byłem pewny, że intryga go stąd wyparła, że ktoś we własnym interesie go oczernił, a tymczasem jest inaczej! Miałem zamiar namówić Marcelina, aby nie narażał się na trudy podróży, lecz teraz pilnować będę słusznej woli Dyoklecjana i żądać, aby jak najprędzej opuścił tę twierdzę. Wiele ludziom wybaczymy, ale tej winy, której oni się dopuścili — nigdy. Filary, podtrzymujące podstawę naszego państwa chwieją się, a przyczyną tego chrześcijaństwo. Dyoklecjan już wydał edykt prześladowania tej sekty. Ja dzielny będę dlań pomocnikiem! Dziś jeszcze pośpieszy goniec do Rzymu z oskarżeniem Marcelina i Sylwii. Kto z nimi razem odejdzie będzie podejrzanym o sprzyjanie chrześcijanom.

Nazajutrz Marcelin otrzymał rozkaz, aby nie zwlekał z wyjazdem, zażądał też Pliwius od rodziny wygnańca, aby przed udaniem się w podróż w oczach jego złożyli ofiarę bogom domowym.

Wsparta na ramieniu syna, Sylwia udała się do przytułku bóstw, za nią Lena, Sali, Stabor, Sami i Tyr, ci wszyscy oświadczyli, że chcą dzielić z Virinusem wygnanie.

Na skinienie Sylwii jedna z niewolnic rozrzała ognisko na ołtarzu bogów domowych i rzuciła na nie wonne zioła.

Lena zdaleka przypatrywała się dzisiaj ofierze. Gdy wonny obłok dymu podniósł się ku posązkom spiżowym, wzrok jej nie szukał ciemnych twarzy bóstw pogańskich, tylko pobiegł wyżej ku oknu, przez które widziała błękity niebios rozpostarte, i z ust dziewczęcia pobiegła cicha modlitwa do tego Boga, Stworzyciela wszech rzeczy, o którym wielokrotnie opowiadał jej Sali.

— Spełnimy wolę Pliwiusa i złożymy przez niego żadaną ofiarę — rzekł Sali do Sylwii — otwiera się przed nami szerokie pole działania, mu-

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesłać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Poczta upomina się o nowe adresy następujących:

Oddział I.

- Nr. 15. Jan Kitowski.
- Nr. 37 Adam E. Kłafsta
- Nr. 59. W. Mikołajewski.
- Nr. 84. A. Modrzejewski.
- Nr. 113 Józ. Dolatowski. ,
- Nr. 181. Jan Śmeja.

Oddział II.

- Nr. 130. Jakób Haske.
- Nr. 131. Fr. Bieszka.
- Nr. 124. Stan. Kuliński.
- Nr. 149. Alex. Wilamowski.

Oddział III.

- Nr. 160. Aug. Hekla.

Oddział IV.

- Nr. 102. Maks. Bloch.
- Nr. 138. Stan. Kuzyusz.
- Nr. 139. Stan. Lipiński.

Oddział V.

- Nr. 79. Józef Jelesiński.
- Nr. 94. Franciszek Ficht.
- Nr. 100. Józef Rządowski.
- Nr. 121. Jan Rychłowski.
- Nr. 151. Bolesław Roda.
- Nr. 180. August Marshall.
- Nr. 183. Franciszek Grzonkowski
- Nr. 184. Michał Polek.

Oddział VII.

- Nr. 48. Michał Modrzejewski.

Oddział VIII.

- Nr. 118. Bolesław Jagła.

Oddział IX.

- Nr. 145. Pelagia Janowiak.
- Nr. 200. Pelagia Noj.
- Nr. 206. Marya Karłach.

- Nr. 222. Marya Domrzalska.
- Nr. 232. Franciszka Nowak.

Oddział XII.

- Nr. 88 Mart. Niewierowska
- Nr. 91 Agnieszka Grabowska.
- Nr. 92. Marya Grabowska
- Nr. 109. Józefa Konwińska.
- Nr. 119. Wal. Pawelska.
- Nr. 140. Marta Bieszka.
- Nr. 154. Stan. Tobaczka.
- Nr. 174. Weronika Dryll.
- Nr. 182 Stan. Szczerkowska
- Nr. 211 Wikł. Dembińska
- Nr. 219. Kar. Kijeńska.
- Nr. 220 Antonina Gort.
- Nr. 146 Monika Szczepińska
- Nr. 143. K. Zawadzki.

Oddział XIV.

- Nr. 26. Fran. Skotnicki.
- Nr. 30 Józef Narloch,
- Nr. 37 Józef Kunka,
- Nr. 39. P. Wałaszkiwicz.
- Nr. 53. P. Bagniewski.
- Nr. 55 Stan. Golimowski,
- Nr. 56. Ant. Jarzyna.
- Nr. 67 Bern. Oliński,
- Nr. 70 Stan. Jordan,
- Nr. 79. Józef Jakubek.
- Nr. 83. T. Gnaciński.
- Nr. 95 Jan Kabaciński,
- Nr. 99. Franc. Riss,
- Nr. 120. Stan. Jateczak.

Oddział XV.

- Nr. 29. Elżbieta Zydorowicz.
- Nr. 36. Kat. Kaczyńska.
- Nr. 42. Zofia Szafran.

Oddział XIX.

- Nr. 5. Bron. Dolatowska.
- Nr. 34 Edwarda Rickowska
- Nr. 43. Paulina Mroczek,
- Nr. 44 F. Rickowska,
- Nr. 53 Fran. Duber,
- Nr. 59 Roz. Olender,
- Nr. 64 Marta Matulewicz,
- Nr. 66 Apolonia Jordan.

Oddział XX.

- Nr. 16 Franc. Serba,
- Nr. 17 Franc. Dychowska,
- Nr. 20 Mar. Schultz,
- Nr. 42 Marya Huntowska,
- Nr. 60 Franc. Santowska;
- Nr. 73. Marta Jażdżewska.
- Nr. 61 Pel. Kwiatkowska,
- Nr. 79 Marya Gackowska.

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że w miesiącu kwietnia, b.r. nie będzie nadzwyczajnego podatku na pośmiertne a zatem opłaty do Kasy Głównej w miesiącu kwietniu b.r. wynosić będą 20 centów.

W. J. Józwiakowski,
21-III-07. Sekr. Główny.

BAL KRAKOWSKI

urządza Macierz Polska Oddział św. Cecylii numer 15ty z parafii św. Jana Kantego w Niedzielę, 21-go kwietnia 1907. Początek o godzinie 4tej po południu w hali ATLAS 32-34 Emma ul. Bilet 25 centów od osoby.

WIELKA MAJÓWKA

urządzona staraniem Oddziału Pań Królowej Jadwigi, Numer 9ty Macierzy Polskiej, odbędzie się w Niedzielę, dnia 5go Maja, 1907 roku, w hali ATLAS, pod numerem 32 — 34 Emma ulica. Początek o godzinie 7mej wieczorem. Cena biletu, dla mężczyzny z damą, 50 centów.

PIERWSZY WIELKI BAL

urządzony staraniem Towarzystwa Polek św. Anny nr. 19ty Macierzy Polskiej, który się odbędzie w Niedzielę, dnia 5go Maja, 1907 w małej hali Schoenhofena, róg Milwaukee i Ashland ave. Początek o godz. 7mej wieczorem. Orkiestra p. I. Skowrońskiego. Cena biletu mężczyzna z damą 50c.

Z POSIEDZENIA ZARZĄDU GŁÓWNEGO

które się odbyło dnia 9go kwietnia, 1907 roku.

Obecni: Moderator, Przew. Ks. Gordon; Prezes Szczepański; Wiceprezeska, pani Nering; Sekretarz, Józwiakowski; Skarbnik, Sztanka; Dyrektor Kucharzski; Dyrektor Nejman; Dyrektor Augustynowicz; Marszałek Siatkowski; Radca prawny Piotrow-

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:

\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na 1 miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznosicieli egzemplarz 1c.

Pieniądże można przesyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia

Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarskim wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce
założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonuje wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

ski; Zarządca Klubu Ciesielski i
Delegaci Czernski i Górski.

Wycieczki w tym roku nie
będzie.

Po gruntownym przedebato-
waniu zbiegu okoliczności stoją-
cych na przeszkodzie pomyślnemu
odbyciu się ogólnej wycieczki
Macierzy Polskiej w tym roku,
uchwalono odłożyć takową
do przyszłego roku.

Uroczysty obchód 10tej
Rocznicy

Za inicjatywą Przew. Ks. Mo-
deratora, uchwalono obchodzić
uroczystie 10tą rocznicę założenia
Macierzy Polskiej. Celem
opracowania sposobu odbycia
się obchodu wydelegowano komi-
sję następującą: Moderator,
Przew. Ks. Gordon; Sekretarz
Józwiakowski; Wiceprezeska,
pani Nering. Prezes Szczepański,
Radca Piotrowski, Dyrektor Ku-
charski i Dyrektor Nejman.

Nowy pomocnik w Klubie.

Antoni Kozłowski, dotychczasowy
2gi pomocnik w klubie,
zrezygnował z powodu choroby
a na miejsce jego obrano Józefa
Muszyńskiego, członka Oddziału
IIIgo.

Nagrody.

Przyznano następujące nagrody:

Józefowi Rutkowskiemu człon-
kowi Oddziału Igo Oznak hono-
rowy za wprowadzenie 5 no-
wych członków.

Nagrody pieniężne:
Piotrowi Konior, \$1.00;
B. S. Górskiemu, 50c;
Zofii Rękosiak, 50c.

Zaproszenie na "majówkę."

Przyjęto zaproszenie od Od-
działu IXgo Królowej Jadwigi
na "majówkę" przez Macierzystki
Maryanowskie urządzaną w
dniu 5go maja br. w hali Atlas.

Win. Józwiakowski,
Sekretarz Główny.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piętrze.

Leczenie: Gorącym powietrzem, Wibracją, Elek-
tryką, Massowaniem, Głinną, Hydroterapią,
Suggestyą, Kąpielami ziołowymi i mineralnymi

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swoją wielki SKŁAD OBUWIA
pod firmą

"The Grand Shoe Co."

865 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trze-
wki modne i trwałe dla mężczyzn,
dam, młodzieży i dzieci po cenach
umiarłkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, chrzciny, itp.
318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 945.

— Otwarte w dzień i w nocy. —

Fotografie!

Wykonujemy w naj-
nowszy styl i naj-
modniejszych po-
zytywach. Słubne fotogra-
fie wykonujemy z wielką akuracją; nawet
w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy foto-
grafie pod gwarancją. Jedyna galeria, która po-
siada światło Rembleta. Ceny niższe dla grup,
towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret
wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
W „MACIERZY POLSKIEJ”

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspniany szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn.)

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na kłapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-cia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli go-tówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po na"epsze szczerzoty - złote ślubne obrączki idźcie do jedynego polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,
677 Milwaukee ave.

x

Telefon Monroe 1298.
JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyć pieniędzy na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej usłużymy

A. J. Kowalski & Sons,

625 Noble ul., Chicago.

JAN KOWALSKI,

agent ubezpieczenia od ognia członek
Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowanie i Dekorowanie
Freskiem i Tapetami

MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.

Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski
wchodzące.

595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.

podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.

Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pókoj 807, Scie pietro. Tel. Central 608.
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1554

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.

